

Grypa szaleje w Naprawie



JALU KUREK

Jalu Kurek

GRYPA SZALEJE W NAPRAWIE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-04-7

Copyright (C) Ewa Kurek i Grzegorz Kurek

Projekt okładki: Ewa Hajduk

Foto na okładce: wydana przez RUCH pod koniec lat 50-tych pocztówka przedstawiająca
tytułową wieś Naprawa

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

Rozdział 1

Naprawa wciśnięta jest w dolinę między Jordanowem, Łętownią, Krzeczowem i Skomielną Białą. Przecina ją na wschodniej granicy zakopiański gościniec, po którym raz na cztery godziny przebiega pod górę zabłocone auto. W jesienne wyiskrzzone noce idą gościńcem furi handlarzy, ładowne wszelakim owocem, na jarmark do Nowego Targu.

Od karczmy na Halkowie pełza ku Luboniowi gęsty las. Drzewa jest tu dość. Puszcza szumi głośno, można się w niej zgubić. Od Naprawy wspina się człowiek lasem ku Mszanie Dolnej, idzie przez pół dnia i skrawek świetlistego nieba zaledwie parę razy przed wzrokiem się przebieje.

Nocą przybliżają się z Czerniawy lasy ku wsi i wsiakają w nią. Teraz jest czas przednówka i sianokosów. Ziemia wabi głośno i mocno. Po krzakach sypią się śmiechy dziewczęce. Od zżętej koniczyny mdli. Młodzież chodzi o zmierzchu jak pijana.

W kwietniu wybuchł głód na wsiach. Jeszcze tu i tam wrzały u kmieci hucznie żarnowe młynki, trące żyto na wielkanocne placki, ale u dziadów, u małorolnych i bezrolnych, to znaczy prawie w całej Naprawie, było już cienko z żarciem. Gospodarze jesienią sprzedawali żyto po osiem złotych za metr, aby opędzić się przed sekwestratorami, teraz, na przednówku, kupują metr żyta na jedzenie po dwadzieścia złotych.

Maj, piękny maj szedł, maj niósł się w powietrzu, maj już prawie był. Z pociągu, który przecina ten pejzaż na ukos, od Jordanowa ku Chabówce, widać z okien o zmroku romantyczne pary, chodzące wzdłuż toru z dłońmi splecionymi razem. Głód skręca nieraz kiszkę, ale miłość silniejsza jest od głodu. Radość życia jest wszędzie taka sama, tak w Madrycie, jak i w Jordanowie. A ból jest jeden, czy w Krakowie, czy w Naprawie. Każdy, nawet najbiedniejszy człowiek, ma prawo do kawałka radości w miesiącu. A zwłaszcza w miesiącu maju.

Tak. To jest wiosna. Ludzie wieczorem chodzą parami. Księżyc na wschodzie wyskakuje czerwony i ciepły, jakby chory na gorączkę. Jest jednak ostro widoczny, to znaczy, że zapowiada niezmienną suszę.

– Jakże tu u was?

– Jak? Zdałoby się lepiej.

To mówi stara Żydówka Meislowa, o oczach wiecznie napuchniętych, niosąca do sklepu wodę ze studni przez cały rynek jordanowski. Wszyscy tu tak spacerują na przełaj po tę wodę. Niektóre postacie, fanatyczne, nędzne, są jakby wyjęte żywcem z historii średniowiecznych. Poza tym niebo codziennie wyblękitnia się głęboko, a ludność uboga i zawsze przestraszona.

Cała wieś Naprawa była pomyłką. Sprawiedliwość przyrody popełniła tu dużą zbrodnię, budując owych kilkanaście dolin i pagórków. Chaotycznie i bez planu jedno mieszało się z drugim. Chaty stawiano nie wiadomo dlaczego na szczycie wzgórz lub na wyższych piętrach zboczy, nie zaś w dolinach. Co prawda w dolinach, choć nie było wiatru, zalegały mokradła i grzęzawiska. Najwyżej położony był dom Zakopianki nad gościńcem, na tak zwanej Syberii, niedaleko dawnych Studzienek; najniżej zaś stała karczma, nazwana bez uzasadnienia browarem. Kasia z browaru, która nie żyła z mężem, otwierała podczas burzy drzwi od szopy, wierząc zabobonnie, że to przyniesie jej szczęście. Aż pewnego razu ktoś w deszcz ukradł jej pierze gęsie z szopy i drzwi bywały odtąd stale zamknięte.

To jest Naprawa. Ptaki przed świtem szaleją. Gwiżdżą co siłą, uczezione u gałęzi, rozsadzając ciszę potężną orkiestrą. Tylko o świcie i po zachodzie słońca, to znaczy w porze, kiedy słońca nie ma, ujawnia się najsilniej namiętność śpiewacza u ptactwa. Kupkami oszczędnymi nawóz udzielał się polom. Nawet nawozu dziś mniej. Omasty dla pól brakło. Będą chudsze ziemniaki i kapusta. Trudno.

Maj wyleciał z kalendarza, wycięty, zgrabny, pięknie ubrany, idiota, wypomadowany fryzjer. Niósł zatrute ciepło dla bankierów, żebraków i prostytutek. Nie podobał się ten suchy, zanadto suchy i upalny maj gospodarzom z Naprawy. Wojtek z Działu kłopotliwie drapał się po zarośniętej twarzy, spoglądając w wyrosłe po kolana żyto, które ani rusz nie chciało się z kłosów wysypać. Na to pole pod gościńcem najbardziej liczył.

Narzekał na maj i staruszek Korabiowski, emerytowany sędzia i były adwokat, osiadły w Jordanowie, ćmiący nieodstępną fajkę. Oburzał się również bezrobotny magister filozofii, Andrzej Głaz, w Krakowie.

– Zlikwidujmy maj, dobrze rymujący się, wypieszczony miesiąc gajów, strumyków, kwiatów i miłości. Perłę wiosny, w której jest dużo zakłamanych uwzniośleń. To jest bardzo ładne, ale ja mam to wszystko gdzieś.

Przy tych słowach rzucił szczotkę do butów w kąt. Bez słowa podniósł szczotkę jego współlokator, Zygmunt Szczepaniak, oczyścił sobie trzewiki, po czym z powrotem trzasnął użytecznym narzędziem pod łóżko.

– Masz rację – mówił. – Skończmy z tym majem. Maj jest wtedy, kiedy jest dobrze.

W piątek przeszedł szybki deszcz. Pachniały po nim trawy, gleba ciągnęła do siebie miłośnię. Ale woń traw wilgotnych jest gorzka i głęboka.

– Maryśka, Maryśka – chrapliwie skowyczał Walek od Jantola, miętosząc w krzakach dziewczynę. Dziewczyna pischczała dyskretnie, nie za głośno, poddając się z lubością nieokrzesanym ruchom parobka. Z dala szumiał niskim tonem jordanowski tartak. Huk pracy odmierzał ich miłość w krzakach.

Nad wieś przycwałował biały, pierzasty galop chmur. Zawiał smutkiem.

– Nie ma w Polsce radości i nie będzie – zawyrokował były sędzia i były adwokat, Korabiowski, siedząc swoim zwyczajem przy otwartym oknie.

Tymczasem nad Jordanowem męczył się jeszcze przeraźliwie długo majowy dzień. Chwała Bogu, że po nim wstąpiła na Podhale pachnąca i świeża noc, która przyniosła krajowi wytchnienie, a staruszkowi Korabiowskiemu sen.

O tej godzinie Naprawa opuszczała padół płaczu, a nad lasy Czerniawy wpływał suchy wiew ciemności. Mgła wieczorna gęstniała. Wieś odchodziła w gwiazdy. Domy wsiąkały w noc.

We wsi mieszkają dobrzy, choć obtargani ludzie. Mocni, choć obsypani słomą i gliną. Kilka nazwisk obsługuje całą wieś. Halki, Mirki, Panki, Czubiny, Surówki, Zeglenie. Latem, wiosną, jesienią, kiedy miesiące kładą się na tej ziemi najpiękniejszym uśmiechem – można zobaczyć to niepojęte piękno. Na deszcz, grożący okolicy, dzwoni Bombol od Brzeźnego alarmowym dzwonkiem, który rozpędza chmury. Bombola-karzelka nazywają baby planetnikiem, twierdząc, iż chodzi on po drutach telegraficznych do góry nogami.

Niektórzy chłopci nie wiedzą, że cesarz Franciszek Józef umarł, że już nie są podlegli Austrii, ale wszyscy wierzą w rewolucję, która jakoby już trwa. Jedna czwarta część wsi nie jechała nigdy w życiu kolejną. Pół wsi nie piło nigdy kawy ani herbaty, a trzy czwarte nie wydało się w promieniu dziesięciu kilometrów poza wieś. Nikt tam prawie nie zna wynalazku cukru. Raz na rok niektórzy pozwalają sobie na szczyptę sacharyny.

Nędzni, ale uparci walczą z ziemią ostatkami sił. Ziemi nie przybywa, a dzieci ciągle przybywa. Wieleż nieszczęść przewaliło się tu nad nimi! Koń zdechłby już dawno z tego, ale człowiek wytrzyma. Rozdrabniają więc swoje „ośmizny”, „czwarcizny”, orzą po łokcie marną, kamienistą glebę, łagodzą ją nawozem, aby coś od niej wyprosić, wydusić, wyssać. Żyją jak psy o wodziance i kwaśnym chlebie. Chleb zatyka żołądek godzinami. W południe patrzą na siny łańcuch Tatr, na wyniosły Luboń oraz na wieżę czerwonego kościoła w Jordanowie. Częściej patrzą jednak na północ, w stronę drewnianego kościółka w Łętowni.

W tamtym kierunku jest Kalwaria. Tam jest Kraków. Kraków – marzenie niedościgłe śmielszych chłopaków, Kraków – ziemia obiecana kobiet, miasto pięćdziesięciu kościołów.

Naprawie nie danym było osiąść domu Bożego. Rozprasza więc swoje modlitwy na cztery strony świata. Grzechy i westchnienia naprawskie przyjmują ołtarze Skomielnej, Krzeczowa, Jordanowa i Łętowni. Dzieci, zrodzone tutaj, trzeba nosić do chrztu za granicę gminy; do umierającego trzeba sprowadzać księdza z innej wsi. Nikt z ludzi, którzy przeszli trzydziestkę, nie zwraca uwagi na miłość, odrabia się to ponuro jak chrześcijańską powinność; nic poza tym.

Wszyscy tu żyją pod obuchem. Podatki, grzywny, ubezpieczenie trzeba płacić w terminie pod rygorem egzekucji, a skąd tu wziąć pieniądze? Inwentarz żywy, słoma i siano spadły nieprawdopodobnie w cenie. Chłop z płaczem prosi kupca na jarmarku, aby kupił cielaka za dwanaście złotych; ten śmieje się i płaci osiem. A za to nie kupi ani metra żyta na wysianie, bo ziarno ze stodoły już w zimie zjedli. Nie ma za co poprawić płotu u chałupy, a nawet na kosę nie stać rolników, zwących się dumnie góralami w odróżnieniu od mieszkańców równin, pogardliwie nazywanych „lachami”.

W niedzielę czyta wójt zebranej pod domem starszyźnie gazetę z tamtego tygodnia, którą wczoraj dostał od kogoś w Jordanowie.

– Wszyscy tu piszą o Polsce, że jest wolna, że jest niepodległa, że jest mocarstwowa. No dobrze, ale nie ma nikogo, żeby o nędzy napisał.

– I nikt tam, wiecie, w tej gazecie, za chłopską biedą się nie ujmie. Oni tam panowie są i wsiowa nędza ich nie obchodzi.

Naprawy wieczorem nie widać. Odchodzi w noc niepostrzeżenie. Nikt nie świeci światła. Okna są martwe. Nie ma nafty. Nie ma pieniędzy na naftę. U Gwiżdza już drugi tydzień stoi garnek z posoloną wodą, w który kładzie się ziemniaki; nie można po odcedzeniu wylewać słonej wody z ziemniaków, cennego skarbu, w którym obgotuje się ziemniaki bez soli jeszcze kilkanaście razy.

Na wiosnę panowały nieźnośne upały, ale lato weszło nad krajem od początku rozplakane i deszczowe. Chałupy w Naprawie postarzały się o jeszcze jeden przednówek i przygarbiły się więcej. Z pogiętych, zapadłych stodoł noszono krowom w czas ulewy mierzwę, tę samą mierzwę, którą dawniej ścieliło się pod bydło.

Tego dnia, w deszcz, u Franusia Kwatery skradziono ser, słoninę i miarkę żyta. Wszyscy byli w domu i nikt nie słyszał, jak wyniesiono jadło.

Po południu głośno beczwały bydłeta, patrząc na pola przez wyrżnięte w oborach okienka. Chcą wyjść na pastwisko, ale na dworze leje i nie wszystkim chce się krowy wyganiać na pluchę. Ulubionym przez biedaków sposobem pasania jest wodzenie krów na powrozach lub na łańcuchach po miedzach i drogach. Tu nie znają łąk do wypasania. Toż to marnotrawstwo ziemi! Mało który kmić może sobie na taki zbytek pozwolić. Najczęściej pilnie wypasa się miedzę, z których uprzednio zżęto trawę do udoju. Gdy padał deszcz, wiązano krowę u śliwy pod domem, czyli na podsadziu, i bydłę musiało gryźć mokrą, po tysiącokroć wydeptaną trawę.

Oho, burza lunie przed udojem myśli Franuś, piętnastoletni syn Wojtka Panka, i chyłkiem zagania bydło do stajni.

Istotnie chmura obluźniła się od Studzienek i ulżyła sobie. Wierzby skurczyły się nad drogą, a krzaki olszynowe obwisły i stały się ciężkie. Niskie chałupy, owinięte w słomę, obojętnie przyjmowały mokry dopust; tylko smród podnosił się większy w izbie od wyziewów zmoczonych szmat.

Nad wsią długo śliniła się siapawica. Po paru godzinach od mostka z gościńca ku Snozie dnem wąwozu, zazwyczaj suchym, płynął potok, rwąc głośno i ostro z kamieni.

– Zboże nam zgnije, Jezu miłosierny – łamała ręce Wojtkowa Leośka.

Przeklęta ziemia najemników trwała w rozkładzie. Cóż zostaje? Brodzić po łąkach. Omijać krowie łajna. Tu ojcowie tracili życie za te kawałki zagnitej zieleni. Spocona ojcowizna dymiła oparem w niebo.

Nad wieczorem na Halkowie w karczmie siedziało za stołem, jak zwykle nic nie pijąc, samo męskie towarzystwo: chłopcy z roli Działowej i Mirkowej. Lamentowali z powodu kryzysu, klęli na Żydów, krytykowali rząd, wąpili w jutrzejszą pogodę. Wojtek Panek ostrożnie wiązał sobie sznurkiem portki, zmoczone nad bosymi stopami.

– Nas zawsze bili i bić będą – powiada. – Dawniej bili panowie i teraz biją panowie. Jaśnie państwo, co są u góry. Ta zła krew na chłopach się pasie, łupi nas, aż piszczy.

– Jezus Maria, znowu leje – mówi pan Korabiowski, budząc się w swym domku przy ulicy Malejowskiej w Jordanowie. Był piąty dzień ulewy. Jest lipiec. Dzień w dzień ukazuje się szybom mokre lato. Raz na trzy dni słońce doskwiera do południa, wysuszy językiem ulicę, a wieczorem znowu lunie deszcz.

Czy świat w chmurach oszalał? Przez dwa miesiące nieustannie lała się na Małopolskę woda z upustów niebieskich.

– Psiakrew, znowu leje – tego samego ranka budzi się w Krakowie magister filozofii, Andrzej Głaz, i spogląda w załzawione okno. Okno umieszczone jest na trzecim piętrze Domu Akademickiego; Andrzej wraz z przyjacielem Zygmuntem codziennie obserwuje przez nie pannę Hankę Nagórką, idącą na spacer ulicą Jabłonowskich. Dziewczyna, absolwentka seminarium nauczycielskiego, wydeptuje każdego ranka o dziesiątej godzinie szlak tuż przy murze, jak osoba trwożliwa i miłująca ciepło. Zygmunt Szczepaniak, kolega Andrzeja, jeszcze od czasu wojska ma chore oczy; cierpi na postępujący a nieuleczalny zanik nerwów ocznych; nie rozróżnia więc z trzeciego piętra rysów Nagórkowej. Andrzej jednak zna je już doskonale.

– Ciało jej jest dobrze zbudowane, ale nie podobają mi się u niej czoło i szyja. A poza tym ujdzie.

Za to przyjaciel jego czuje się źle w tym zorganizowanym lenistwie, gęsto polewanym deszczem.

– To wszystko nic. Paryż – oto mój ból.

Albowiem marzeniem jego było zobaczyć Paryż. To był kompleks jego tęsknoty, stały temat jego rozmów, centrum jego myśli. To jedno, czego pragnął: światła Paryża w umęczonych oczach.

Od dwóch lat przyzwyczaił się do tej żarliwej namiętności. Tkwił w niej maniacko. Później dojrzał i kpił sobie na pół z tych rojeń, cyniczny marzyciel. Nawet i tu wdarł się jego ironiczny światopogląd.

– Już wszystko znam na pamięć. Ale to nic. Opowiedz, jak zwykle, jeszcze raz. Cóż masz lepszego do roboty? A ja chętnie słucham.

Ukończony magister filozofii rozwijał więc przed zdolnym chemikiem mocno zużytą wizję Paryża w sugestywnych skrótach, po czym Zygmunt, natchniony, brał w ręce skrzypce i pastwił się przez chwilę nad nastrojem. Skrzypce łkały przedziwnie smutno i nie kpiły. Gdy był to wieczór – zaraz potem zasypiali obaj.

Z wiosną pogorszył się wzrok Zygmunta; chemik przestał chodzić do laboratorium; była to bowiem nauka bez nadziei. Dobiły go opłaty. Nie otrzymał stypendium ze względu na przekonania; spodziewał się odmowy. Wielu przed nim tak zaczynało i kończyło.

– Wiedza nie jest, niestety, demokratyczna – mówi dwudziestoosmioletni intelektualista, pozbawiony rodziców, pieniędzy i pracy. – Życie nie jest łaskawe dla chemików. Uczyli mnie w podchorążówce, że wojna będzie rajem pracy dla nas. Czy mam tęsknić do wojny, która mnie zatrudni w fabryce gazów trujących?

Pluje. Wyciąga z kieszeni okulary, których nienawidzi, i spogląda na barwny afisz kinowy.

Znowu Marlena Dietrich. Kiedy jakaś rewolucja skończy bezmyślną modę idiotycznych wampów, demoralizującą widzów? Ja rozumiem: krew, życie, świat, młodość, zmysły, erotyka, ale żeby tak ważne wzruszenie opierać na fotografii jakiejś kruchej, wiotkiej kobiety z Hollywood?

I idzie do czytelnicy uniwersyteckiej na ulicę Świętej Anny, aby wraz z Andrzejem studiować pożyteczne książki. Zygmunt z zapalem czyta dzieła podróżnicze; była to jego namiętność od dzieciństwa. Syci więc swoją pasję bez miary. Tu są najnowsze dokumenty z ostatniej wyprawy na Mount Everest, z ekspedycji podbiegunowych, z odkryć archeologicznych w Turkiestanie, nowe teorie co do zaginionych lądów – cały niefałszowany, naukowy egzotyzm. Pewnego dnia uszy obu przyjaciół, wsłuchane w ciszę Biblioteki Jagiellońskiej, zadrżały nagle i otwały się na dziwny szum, idący od podwórza i ulicy. Szum przyniósł ze sobą krótki deszcz, a deszcz przyniósł wiosnę. Drzewa pozieleniały radośnie, powietrze jakby rozszerzyło się, świat wyglądał jak po gruntownym remoncie.

Co robili na wiosnę dwaj pełnoletni obywatele Rzeczypospolitej, którym ojczyzna nie dała stanowisk? Dumnie zajmowali namiastki posad. Andrzej bawił się w korepetycję, Zygmunt próbował szczęścia (bardzo zmiennego) w gazowni, w biurze ogłoszeń, w biurze sprzedaży realności, w towarzystwie ubezpieczeń. Na każdej posadzie miesiąc. Poza tym obaj chodzili do kolegów, odprowadzali koleżanki, uczęszczali na wykłady uniwersyteckie z braku lepszego zajęcia. Wchłaniali w siebie uroczyście pył krakowskich ulic; ciszę wieczorną plantacji i wysłoneczniony kawał Błoń.

– Przy tych wiosennych porządkach można by coś zarobić na ulicach, ale ja jestem za słaby do łopaty – mówi Zygmunt. – Przecież chemikowi wystarczą delikatne ręce i wiedza w głowie. Co za nędza!

– Nędza, psiakrew – powtarzał Andrzej, który był śmielszy w mowie.

Tymczasem na dworze bez przerwy toczą się dnie i noce. Dnie ciepłe, chłodne, deszczowe, pracowite, noce ciche, konspiracyjne, hałaśliwe, ciemne. Obaj przyjaciele oglądają od samego rana przyplaszczone figury przechodniów na tle sezonowej wystawy miejskich plantacji. Myślą – wiosna. To jest coś bardzo ważnego. W południe ziemia huczy jak dzwon, w południe ziemia jest jak grzmot armat. Wszystkie piętra zakwitają ludźmi, ulice są pełne człowieczego żywiołu, ogrody rozsadza mowa miłosna.

Tego samego dnia, kiedy Hanka Nagórska po sześciomiesięcznym pukaniu w kuratorium otrzymała posadę kontraktowej siły nauczycielskiej w szkole powszechnej w Naprawie – tego samego dnia otrzymał zawiadomienie podobnej treści magister Andrzej Głaz. Mianowano go kontraktowym nauczycielem polonistyki w nowo otwartym seminarium nauczycielskim w Jordanowie.

Była niedziela lipcowa. Korzystając z wolnego świątecznego dnia, niebo od rana suszyło sobie brudne, zaiste brudne prześcieradło. Jeszcze w czerwcu wybierały się do Jordanowa gromady letników krakowskich, wyłącznie Żydów, rozprawiających głośno na temat tej legendarnej oazy zdrowia i pięknych widoków.

– Chwała Bogu – wzdycha Andrzej. – Zawsze to nie taka dziura, jakby ktoś myślał. A zresztą jest mi wszystko jedno. Byle tylko coś robić.

Wołała go praca. Przez cały jeden rok niszczył się; mężczyzna bowiem, pozbawiony pracy, marnieje. Porzucał tu miłość, która znaczyła się dlań nieszczęśliwie; albowiem była bez wzajemności.

– Trzeba więc odejść z Krakowa. Porzucić bezrobocie i miłość. Dwie rany bolesne, dwie choroby, dwie klęski.

– Nowa nauczycielka przyjechała do wsi oznajmił Pietrek, wyprzęgając konia.

– Z Krakowa, uważacie?

Zaraz zaczęły się po wsi różne mowy o tym. Tak jakby stało się coś bardzo ważnego w miejscowych stosunkach. Niby, że to doniosłe przesunięcie – mówili. Niby, że to miało świadczyć o pewnych zmianach w polityce polskiej. Teraz tyle reform robi się wszędzie, to i pani nauczycielka zapewne będzie tu coś nowego oznaczać.

– Będziemy mieć nową panią w szkole – mówi Janek od Szewca i pluje sobie, jak zwykle, niechlujnie na buty. Nie mieli bowiem od kwietnia nauczycielki; zredukowano ją za to, że kłóciła się z księdzem, że źle mówiła o rządzie.

Tej nocy księżyc wypadł na niebo nagle zza krzaków, biały i olbrzymi jak koło u wozu. Sierpniowe noce były jasne i wyiskrzane jak dnie. To były noce bez snu. Gwiazdy padały z nieba jak śliwki i zdawało się, że nie ma stropu nad cierpiącą i szaloną ziemią. Co drugi dzień musiało trochę z góry polać, ale noc była mimo to zawsze pogodna.

W słoneczne południe wszystkimi porami wdzierał się w ciało Naprawy rozpaczliwy urok, bezdenne słodycz, przeraźliwe otchłanie ciepła i jasności. Ale wieś była nieczuła i bezsilna wobec zalewu piękna. Wszyscy pracowali w gwałtownym pośpiechu jak przed burzą, jakby nie było chwili do stracenia. Żniwa odprawiano z nerwową gorączką, jak przed zbliżającym się końcem świata. Hanka od Czubina w czas księżycowej pełni trzykrotnie jeździła do Granicy po żyto. Nie, żeby groził ziemi deszcz, choć było go za dużo tego lata, tylko że w dzień pracować w pocie źle i ciężko, a nocą jest chłodnawo i jaśniutko jak w południe. Gdzie indziej żęto w polach rankiem, a przy wysokim miesiącu zabierano do stodół.

Mimo to Janek od Szewca postanowił nadal nie posyłać swej dziesięcioletniej córki do szkoły, bo teraz nie na to czasy są – powiada.

– Dziewczyna jest po to, żeby krowy pasła.

I pluł, jak zwykle, krótkowzrocznie tuż pod nogi, przeważnie na własne buty.

Hanka Nagórska, kontraktowa siła nauczycielska za sto trzydzieści złotych miesięcznie – przyjechała w sobotę i zamieszkała u Wojtka Panka, którego chałupa rozłożyła się nad gościńcem, wiodącym z Krakowa do Zakopanego. W tym miejscu szosa miała dość gwałtowny zakręt i Wojtek, choć nie był dróżnikiem, ciągle coś poprawiał koło drogi; czynił to dlatego, aby czasem przy tej robocie zobaczył go przejeżdżający raz na tydzień drogomistrz z Lubnia i łaskawie przyzwolił mu za to popaść krowiny na przydrożnych szkarpach.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI